

Dina Łopatto
(1897–1990)

Pocałunek (Gulusz-Tota)



Przedmowa do tomiku *Сборник стихов* z 2003 r.

Dina Łopatto z domu Roffe (29 września 1897–24 czerwca 1990) młodość spędziła w Odessie, a w 1922 roku przeprowadziła się do Wilna, aby ponownie spotkać się z Konstantym Łopatto i wziąć z nim ślub. Wojna domowa i rewolucja rozłączyły tę młodą, kochającą się parę na siedem lat, udało im się jednak zachować żarliwą miłość, przyjaźń oraz wzajemne zrozumienie na całe wspólne życie.

Jeszcze za młodu, w wieku 27 lat, poważnie zachorowała – po urodzeniu córki straciła słuch. Nie przeszkodziło jej to w pozostaniu osobą towarzyską, życzliwą i otwartą na ludzi oraz dobrą gospodynią i gościnną panią domu. Bardzo lubiła śmiać się i żartować. Dużo czytała. Doskonale знаła się na literaturze i sztuce. Kochała wszystko, co piękne. Kolekcjonowała książki, porcelanę i antyki.

Oto ubrana w wiersze stara opowieść, spisana niegdyś przez Borysa Jakowlewicza Kokenaia na podstawie słów I.I. Sinaniego – historia o niezwykle inteligentnej i zaradnej Karaimce Gulusz-Tocie, żonie Beniamina Agi i siostrze pisarza Izaaka El-Tura, kobiecie, która swoją pomysłowością i odwagą uratowała Kyrk-Jer przed niechybną zagładą.

Minęły wieki, ale pamięć przechowała,
Jak kobieta mądrością Kyrk-Jer ocaliła:
Bez udziału armat atak powstrzymała,
Ani jednej kropli krwi nie przelała
I nawet swoich wrogów nie skrzywdziła.

Zwycięskie dzwonów dźwięki
W radosnych cerkwiach, soborach

Była patriotką swojego narodu, co wyrażała w wierszach o tematyce karaimskiej. W młodości próbowała pisać poezję, lecz potem przestała. Dopiero w wieku 68 lat powróciła do pisania, co zaczęło się w żartach, od tekstów dla wnuka. Z czasem przekształciło się w to prawdziwą pasję, pisała dużo i na rozmaite tematy.

Ostatnie wiersze napisała w wieku 89 lat. Choroba położyła kres jej twórczości.

*Nadieżda Pilecka (córka)
Z języka rosyjskiego
tłumaczyła Hanna Pilecka*

W carskich miastach stołecznych
I głuchy jęk smutku, głos klęski
W na wpół zrujnowanych meczetach,
Jak gdyby sam Allah zapomniał
O cierpiących swych wiernych dzieciach.
Ostatni z Czyngis-chana rodu –
Jego potomek, ostatni z krymskich chanów –
Porzucił obóz otoczony przez wrogów,
Zniknął i ukrył się w miejscu nieznanym,
Gdzie niegdyś dumne stały Złotej Ordy grody.
Wojska carycy Taurydę okrążyły
Ze wszystkich stron, z lądu i morza,
I ziejąc z broni ogniem zniszczyły
Rozkwitające wioski i ogrody.
A z zachwycającej urody
I świeżego oddechu Krymu,

Gdzie niebo zdobione słońca blaskiem
Kołysało się leniwie w lśniących wodach
I tylko plusk fal lekkich, płaskich
Czasami ciszę na moment przerywał –
Zostały jeno popioły straszliwe
I czarne chmury ryczącego dymu.
Hordy Chana rozproszyły się po kraju,
W górach z semenami się zbrały.
Ukrywali się w jaskiniach i wąwozach,
Rabowali, wśród biedaków sięgając grozę:
Tak palili i rąbali, płądrowali,
Napadali na spokojne wioski
I nie znali umiaru w swej złości.
Teraz właśnie ci nieokiełznani,
Całą chmarą, w okropnym hałasie,
Ale traktem obranym zawczasu
Do Kyrk-Jeru pospiesznie zdążali.
Był to okres „Korkuw” – tak go nazwano,
Uwieczniono w zapiskach mędrców –
Czas okrucieństw, krwawego zamętu.

Wróg nadciąga, znikąd zmiłowania,
W Dżuft-Kale panuje wielkie zamieszanie:
Ucichł gwar i zapadła ciemność,
„Wielkie Wrota” na glucho zamknięto,
Każdy swoje drzwi i okna zarygłował,
Wszystkie domy stoją w pogotowiu,
Strachu szept tylko ciszę przenika,
Bo w Kyrk-Jerze nastała panika.
Starcy swe piękne córki ukrywali jak najdalej,
Zaś młode matki niemowląt w rozpacz
Usta dzieciątek dłońmi zakrywały,
By nieprzyjacieli nie słyszał ich płaczu.
A dzikie bandy szły do celu z uporem,
Wlokąc pod górę armatę-potwora,
Zdobyta na „Urusach” w potyczce po drodze –
I jak tu się uchronić przed żeliwnym wrogiem?
Stawali wszak do walki już niejeden raz,
Lecz teraz będzie bój nierównych szans:
Czy dostępne środki obrony nie zawiodą,
Gdy armatę oblejesz smołą lub gorącą wodą?
Przecież żadnej innej broni nie mieli!
Biedni swego narodu synowie wiedzieli,
Że zostaną okrutnie wymordowani,
Że wszystkich razem ich na śmierć skazano.
I ci ludzie się na zawsze już żegnali,
A przed śmiercią w najlepsze stroje się ubrali.

Miotali się ojcowie rodów w strasznym lęku,
Nie widząc najmniejszej szansy na zwycięstwo,
Nie wiedząc, czym i w jaki sposób się obronić,
Zakładając, że klęska jest nieunikniona:

A zbeczczyć dać swe żony i dzieciaczki –
Och! Niech spłynie na nich Boża łaska!
Dzień i noc spędzają w kienesie,
Przed echałem trwożny szept się niesie,
Łzy na bladych, zmęczonych obliczach
I nikt nie ma już sił na modlitwę!
Tylko Gulusz-Tota nie płacze, nie jęczy,
Najwyraźniej rozważa jakieś przedsięwzięcie.
W końcu pewnie przed dżymatem stanęła
I śmiałym głosem przemowę zaczęła:
„A może to za nasze grzechy jest kara
I z niebios taką ciężką próbę nam zesłano?
Najlepiej będzie, jeśli niebu zaufamy
I we Wszechmogącego nie tracimy wiary.
Może nas Pan wysłucha, kto wie?!
I zbawienie ześle na Kyrk-Jer.
My, bezsilni wobec armatniego działa,
Posłużymy się dobroci «bronią».
Lecz musimy umiejętnie działać,
Zgodnie z planem, we wzajemnej harmonii
I pamiętać, że tych oberwańców trawi
Silny głód, brak godziwej strawy.
Nakarmimy ich i hojnie napoimy,
I tytoniem szlachetnym ugościmy,
Powitamy całą naszą społecznością,
Jako «drogich i wyczekiwanych» gości.
Serca Wschodu gościnność kochają!
Jeśli nawet biesiadnicy nas zrujnują,
To być może wdzięczności smak poznają,
Mniej dóbr zniszczą, chociaż życie nam darują.
Pójdźcie do kienesy i tam na kolanach
Poproście żarliwie o wielki cud Pana.
Módlcie się wspólnie, wysiłków nie szczędźcie,
By gniew swój mógł zastąpić swoim miłosierdziem.
Jednak czasu jest mało – nie wolno wam zwlekać,
A polegajcie na mnie i innych kobietach.”
Tu krzątać się poczęły wierne córki ludu,
W ruch szły miedziane garnki, wałki do ciasta i misy.
Kobiety pracowały, nie żałując trudu,
Ugniatając i piekąc w skupieniu i w ciszy,
Nie mając wszak pewności, czy to dobre wyjście,
Czy pomyślnie się skończy Gulusz-Toty misja.

Pod zamkniętą bramą „Büyük Kapu”
Widać było mocno ożywiony tłum:
Tam w rzędach niskie stoły ustawiono –
Czekały już na gości nieproszonych.
Ze wszystkich domów, drżącymi rękami,
Ludzie nieśli jedzenie pokropione łzami.

Obfitość potraw wprost porażała zmysły,
Piętrzyły się tu góry istnych wspaniałości,

Kuszących, apetycznych dzieł gospodyń wszystkich,
Tak doświadczonych w przyjmowaniu gości –
Dzisiaj szczególnie dań było tak wiele,
Jak gdyby świętowano osiedliny lub wesele.

Kociołki i sagany wesoło bulgotały,
Ale ludność Kale jak na węglach siedziała.
Aż nastała w końcu chwila epokowa:
Nadszedł wróg i na szybki podbój się szykował.
Oszalali od stałego krwi rozlewu,
Żądni walki, wypełnieni dzikim gniewem,
Już z armaty w twierdzę celowali,
Lecz się nagle zaskoczeni zatrzymali,
Gdyż otwarły się Büjök-Kapu, Wielkie Wrota,
I przed zbójów zdumionymi oczami
Pojawili się dostojni starcy z laskami,
Na ich czele stała zaś Gulusz-Tota.
Z ukłonem Gulusz-Tota chleb i sól podnosi,
A od razu do stołów zaprasza tych gości.
I rozbroiła wrogów takim powitaniem,
Przecież głód już od dawna szarpał ich trzewiami.
Semenowie na widok jedzenia osłupieli:
Stoły niemal nie pękły od tej obfitości,
Nie zabrakło żadnej z lokalnych pyszności:
Oto kajmak i jazma, i sorbetów wiele,
I baklava zalana przejrzystym miodem
Oraz słynna biała chałwa z orzechami,
Duże strojne formy z wypiekami
Z listkowego ciasta, niezwyklej urody,
Aż w zachwycie się oczy rozbiegają!!!
Oprzeć się pokusie nie mogli, nie umieli
Odmówić takiej uczty swym steranym ciałom!
Nagle znikło gdzieś ich wojownicze nastawienie:
Kusił najeźdźców widok świeżego ciasta
I rozpraszał zapach baranich pieczeni,
A kruchy pilaw z wonną omastą,
Zrobiony z tłustych drobiowych podrobów,
Radował dusze wygłodniałe wrogów.
Zawarte w nim rodzynki oraz mięty nuta
I rozliczne inne aromaty miłe
Nozdrza wychudłych zbójców drażniły –
Chcieli zasiąść do stołów jak najprędzej
I zapomnieć o swym stałym wikcie nędznym,
Napić się i pokrzepić tym jedzeniem sutym.
Tylko jedno ich teraz obchodziło:
Za co brać się, od czego tu zacząć,

Takiej uczty dotąd w życiu ich nie było!
Szli tak długo, napadając, walcząc,
Ale o tym już dziś nie marzyli,
Zapragnęli odetchnąć swobodnie,
Choć raz cieszyć się spokojem chwili,
Smakiem potraw, poczęstunkiem godnym.
Gospodynie w serwowaniu jadła się prześcigały,
Pilnie, aż po brzegi, szklanki napełniały.
Ponure twarze z każdym kęsem i oddechem
Już łagodniały, widać było cień uśmiechu
I ich spojrzenia stawały się mniej surowe,
Jakby spadały z nich niewidzialne okowy;
A głosy dzieci z ukrytego przed ich wzrokiem placu
Trafiały w serca ludzi tych nieskorych do płaczu:
Nagle zbudziło się w pamięci coś dalekiego,
Coś dawno zapomnianego i jak we śnie,
Leniwie, z zaskoczenia, poruszyło się.
Prawie wszyscy z nich niegdyś ojcostwa zaznali,
Gdzieś tam na tych mężczyzn pierworodni czekali!

Tak więc w pełni się powiódł Gulusz-Toty plan:
Zadowolony bardzo był i ataman,
Zbójcy całą gromadą zgodnie jedli i pili,
Potem podziękowania za chleb i sól złożyli,
Zapas jedzenia na drogę zabrawszy,
Krzycząc pełnym radości głosem,
Na dół sprawnie armatę stoczyli
I zniknęli na dobre, na zawsze
Z oczu zwróconych ku niebiosom.

Ludziom dobrym i prawym zdarza się nierzadko,
Że nieszczerłość pozwala wyjść cało z zasadzki.
Spójrzmy na tę historię dla przykładu:
Cóż mieli do wyboru poza udawaniem,
Że mile są widziani wrogowie zachłanni?
Jak inaczej, nieszczęśni, mogli przed upadkiem
Ocalić gniazdo swych ojców, pradziadów?!
O doświadczeniach przodków zapiski, pogłoski
Nie na próżno nas uczą, podsuwają wnioski.
Posłuchajmy tej rady, gdy dusza o pomoc prosi:
„Pocałuj, jeżeli nie możesz ukąsić!!!”

Wilno, 17 grudnia 1966 r.

*Z języka rosyjskiego przełożyła
Hanna Pilecka*